

*Mój
chłopak
i jego
narzeczona*

INKA JABŁOŃSKA

MANDO 

© Wydawnictwo WAM, 2020

Opieka redakcyjna: Agnieszka Ćwieląg-Piculewicz

Redakcja: Anna Śledzikowska

Korekta: Maria Armatowa, Katarzyna Onderka

Projekt okładki: Anna Sowińska

Zdjęcia na pierwszej stronie okładki: © SHYrix /Depositphotos,

© InkDropCreative /Depositphotos, © egal /Depositphotos,

© PicsFive /Depositphotos, © Madllen /Depositphotos

© Freepik.com

Skład: Lucyna Sterczewska

ISBN 978-83-277-2541-7

MANDO

ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków

tel. 12 62 93 200

www.wydawnictwomando.pl

DZIAŁ HANDLOWY

tel. 12 62 93 254-255 • faks 12 62 93 496

e-mail: handel@wydawnictwomando.pl

Druk i oprawa: POZKAL • Inowrocław

Publikację wydrukowano na papierze Ecco book cream 70 g vol. 2.0
dostarczonym przez Antalis Poland Sp. z o.o.

Dzień

0

Z wyprawą do domu wiązało się kilka spraw. Przede wszystkim należało kupić sukienkę i buty, bo moja praca, delikatnie mówiąc, przez wiele miesięcy wykluczała takie ekstrawagancje jak elegancki strój, czyste obuwie i umyte włosy. To znaczy włosy oczywiście można było myć razem z całym ciałem, ale wiarę w sens tej czynności człowiek tracił już pięć minut po wyjściu spod prysznic. Zaraz był znowu spocorny i oblepiony jakimś świństwem. Nawet opalenizny nikt przy zdrowych zmysłach nie mógł mi zazdrościć, bo spalony słońcem miałam tylko mały fragment łydek u dołu, przedramiona, szyję i twarz. Kiedy więc przymierzyłam sugerowaną przez ekspedientkę sukienkę na ramiączkach, skrzywiłam się, a kobieta współczująco pokręciła głową.

- Na budowie pani pracuje? No tak, chłop to się rozbierze, a pani to jak? W cykonoszu samym paradować nie będzie.
- Jestem archeologiem – mruknęłam, zdejmując kieckę.
- Ach tak? *Park jurajski* pani pewnie oglądała w dzieciństwie?

Nie zdążyłam odpowiedzieć, bo poszła po inną sukienkę, a poza tym sama już nie wiedziałam, czy tłumaczenie niektórym ludziom różnicy między paleontologią a archeologią przyniesie spodziewane rezultaty. Ludzie dzielili się na tych, którzy tę różnicę rozumieją, i na tych, którzy będą patrzeć na ciebie wielkimi jak u spaniela oczami i za cholerę nie przyjmą, że archeologia nie jest od dinozaurów, tylko – w dużym uproszczeniu – raczej od starych garnków. Stare garnki nie zawsze są akceptowane jako ciekawostka zawodowa i w towarzystwie robią naprawdę niewielkie wrażenie. Nasuwają się w związku z nimi oczywiste pytania: po co to? I: czy da się z tego wyżyć? Uznałam, że lepiej się w takie rzeczy nie zagłębiać w sklepie odzieżowym. Ekspedientka wróciła z inną sukienką, odpowiednią dla przyzwoitej zakonnicy, w sam raz na wesele w lipcowym upale. Włożyłam ją z ciężkim westchnieniem. Przynajmniej krój miała ładny, wcale nie zakonnicy. Podkreślała talię i odsłaniała akurat opalony fragment łydki. Kolor także niczego sobie – kobaltowy, nasycony i głęboki, ładnie kontrastujący z moimi brązowymi oczami. Kupiłam ją, potwierdzając, że owszem, oglądałam w dzieciństwie *Park jurajski*. Kobieta pokiwała głową ze zrozumieniem albo współczuciem, nie wiem.

Miałam w swoim życiu taki czas, kiedy czułam się trochę lepsza od pań ekspedientek, kelnerek, fryzjerek i ogólnie wszystkich innych pań, które wykonywały „zwykłą” pracę i nie miały dwóch literek przed nazwiskiem. Od innych ludzi w zasadzie także czułam się nieco lepsza. Bo miałam ambicje, lubiłam czytać książki i uczyć się historii, a zupełnie mnie

nie interesowały kosmetyki i ciuchy. Ani chybi wyższy byt. Duchowy rozwój i te sprawy. Już mi przeszło, ale w pewnych kręgach opinia się za mną ciągnie.

Na przykład w rodzinnym miasteczku, do którego teraz musiałam na chwilę wrócić i „się pokazać”. A jak gdzieś kiedyś człowiek zadzierał nosa, to potem mu jednak trochę głupio.

Kiepkę odhaczyłam, ale z butami było już gorzej. Po próbie przejścia dwóch metrów w sandałkach na szpilkach złapałam się wreszcie kurczowo regału i zawisłam na nim jak początkujący łyżwiarz na bandzie. Zdecydowałam się więc na etniczne, wyszywane koralikami sandałki na płaskiej podeszwie i tenisówki w kwiatki. Teraz ponoć taka moda, że do eleganckiej sukienki nosi się tenisówki. Mówię „ponoć”, bo długo siedziałam w wykopie, więc nie wiem na pewno. Tym jednak mogłam się skutecznie zasłonić w trudnej sytuacji. Na przykład takiej, w której narzeczona mojego chłopaka zacznie wszystkim tłumaczyć, że wróciłam z dziczy, więc „sami państwo rozumieją”. Nastąpi to prawdopodobnie zaraz po przedstawieniu mojej osoby – tym, którzy mnie jeszcze nie znają – dokonanej przy użyciu słów: „A to doktor Jasińska”. Każdy się uśmiechnie uśmiechem mniej więcej Mony Lisy, przygładzi włosy, strąci niewidzialny pyłek z rękawa garsonki czy garnituru i obrzuci mnie niby pełnym podziwu spojrzeniem. Ci, którym prezentowana będzie moja osoba, poczują lekką konsternację, uściskną mi rękę, bąkną, że miło poznać, po czym sobie pójdą, nadal nie wiedząc, jak mam na imię ani od czego właściwie jestem doktorem. Narzeczona mojego

chłopaka dopiero później z udawanym zażenowaniem znacznie znajomym tłumaczyć, że mój tytuł naukowy wiąże się nie z – powiedzmy – przeszczepami serca, lecz z kopaniem w ziemi i wygrzebywaniem z niej jakichś skorup. Będzie przy tym popatrywać na mnie jakby dyskretnie, czy nie podsłuchuję, choć oczywiście słyszeć powinnam. Paradoks taki. Sama tę sytuację sprowokuje. Mogłaby przecież powiedzieć, że jestem Malwina, i byłoby po problemie, zero żenady, ale nie. Tak widzę najbliższą przyszłość. Tak na pewno będzie. Narzeczona mojego chłopaka nie może mnie zawieść. Chyba że akurat okaże się miła. Dawno jej nie widziałam.

Dawno nie widziałam w ogóle ich wszystkich. Nie sądziłam, by ktoś z moich szkolnych znajomych czekał na mnie w miasteczku z utęsknieniem. Nigdy nie byłam miłą dziewczyną. Nigdy nie zabiegałam o to, by mnie lubiano, a później wmaślałam sobie, że mi na niczyjej sympatii nie zależy. Sądziłam, że człowiek nie musi się starać o przyjaciół, że oni po prostu powinni zjawić się sami, bo to mi się z jakiegoś powodu należy. Teraz wprawdzie już tak nie uważam, ale jest za późno na poprawę sytuacji. Poza tym chyba przyzwyczaiałam się do bycia nielubianą.

Jeszcze kilka lat temu pomyślałabym, że on jako jedyny powita mnie z otwartymi ramionami. Daniel, moja miłość, mój chłopak, ktoś, kto zawsze mnie rozumiał i zawsze na mnie czekał. Teraz już wiem, że mnie nie powita. To właśnie on szykował się przecież do ślubu. A ja nie mogłam mieć do niego pretensji. Nie powstrzymałam go.

Załatwiłam kieckę i buty, przygotowałam się psychicznie na trudną konwersację, a później zadzwoniłam do Jacka.

– Masz garnitur? – zapytałam od razu, kiedy odebrał.

– Taaak, ale czy chcę go włożyć, to już całkiem inna kwestia.

Entuzjazm w jego głosie był tak zaraźliwy, że natychmiast sięgnęłam do lodówki po butelkę różowego wina. Ostatecznie miałam wakacje i mogłam się napić o czternastej dwadzieścia osiem, Włosi piją, na Krecie też nie gardzą o tej porze kie-liszeczkim retsiny, nie wspominając o Francuzach, którzy dnia bez wina nie zdzierzą.

– Możesz sobie nie chcieć – wymamrotałam, przytrzymując telefon ramieniem.

– Wiem.

– A u fryzjera byłeś?

– I może jeszcze na woskowej depilacji szpary pośladowej?

– Byłeś?

– Tak.

– Kazałeś sobie tylko skrócić włosy czy zrobiłeś też coś z brodą zapuszczonego druida?

– Zrobiłem. Nigdy mi się za to nie odwdzięczysz.

– Wystarczy, że chcesz mnie zaciągnąć w przyszłym roku do Monte Testaccio, chociaż masowy handel oliwą i składanie do kupy skorup glinianych amfor budzą we mnie zero-wą ekscytację. Znacznie bardziej wolałabym Göbekli Tepe, gdyż jak ci świetnie wiadomo, zajmują się kulturą duchową

dawnych społeczeństw, a tak się składa, że tamtejsze kamienne kręgi...

– Ja ciebie też, do jutra!

Jacek się rozłączył, a ja nie miałam nawet siły na święte oburzenie. Potykając się o rozbebeszone torby, dotarłam do balkonu i opadłam na wiklinowy fotel. Warszawa za oknem żyła własnym życiem, wesołym i intensywnym, bo wieczór był ciepły, przyjemny i przynosił ulgę po upalnym dniu. W dodatku był piątek, początek weekendu, koniec czerwca. Czas, kiedy ludzi ogarnia wakacyjny nastrój i wielu z nas potrzebuje kilku dni, by zrozumieć, że edukację już dawno zakończyliśmy i nie dotyczą nas żadne takie atrakcje jak dwa miesiące wolnego. Mnie chwilowo dotyczyły. Wróciłam z wykopalisk, odhaczyłam papierkologię, pokazałam się na uczelni, zgłosiłam do udziału w kilku jesiennych konferencjach i zajrzałam do zmian programowych. Niewielkich na szczęście. Uznałam jednak, że dobrze się składa i mogę od razu pomyśleć, jak odświeżyć nieco swoje wykłady o kulturze duchowej dawnych społeczeństw. Każdego roku uczyłam oczywiście inną grupę młodych ludzi, którzy naoglądali się *Indiany Jonesa*, czy raczej – w wypadku obecnego pokolenia – *Lary Croft*, ale nudziłam się już na nich nawet ja sama. Ile można tak w kółko? Pomyślałam, że po rocznej przerwie nie mogę wejść ponownie w te same koleiny. Zwłaszcza że dowiedziałam się czegoś nowego, zdobyłam parę ciekawostek. Przeszłość tylko na pozór jest raz na zawsze zamknięta. Taka Troja choćby jest dziś dla badaczy czymś zupełnie innym, niż była jeszcze dwadzieścia, trzydzieści lat temu.

Napiłam się wina, które było już niemal ciepłe, i zmarszczyłam brwi. Nawet myśleć było mi wygodniej o przeszłości niż o teraźniejszości. Znacznie bardziej lubiłam przebywać wśród starych skorup, biżuterii o nie do końca ustalonym przeznaczeniu i wyłaniających się spod ziemi krętych korytarzy niż w Warszawie, w domu – teoretycznie domu. Pomyślałam, że jeszcze jeden kieliszek wina i zacznę z powodzeniem filozofować o definicji słowa „dom”. Bo gdzie właściwie był mój? Tu, w tym małym mieszkaniu na Mokotowie, za które kredyt będę spłacać jeszcze dwadzieścia lat? Czy tam, gdzie mieszkała moja matka, gdzie było jezioro i był Daniel? Nie, w żadnym z tych miejsc.

Dom był w Turcji, w Tevfikiye koło wzgórza Hisarlik, na którym dawno, dawno temu leżała Troja. Wcześniej dom był na Thirze, w Megiddo w Izraelu i w wielu innych miejscach na świecie i w Polsce. Za każdym razem, kiedy wracałam, czułam się dziwnie. Jakbym nie pasowała, była taka trochę urwana z choinki, zagubiona w normalnym, całkiem zwyczajnym świecie, w którym mogę pójść do Żabki po kawę, do piekarni po precla, a później gryźć go sobie, idąc spokojnie ulicami miasta i nawet znajdując jakieś ławki w cieniu. Na wykopaliskach nie ma ławek w cieniu. Zwyczajny dzień polega tam na tym, że wkłada się na tyłek złachane bojówki, w których można cały dzień leżeć i klęczeć na kamieniach lub na glebie, wyciera się pot z czoła – bez sensu, bo sekundę później znowu się pojawia – haruje od świtu do nocy, a wieczorem próbuje się utrzymać w zmęczonej dłoni najpierw widelec, a później piwo/wino/inne napoje

z procentami, wedle upodobań. Ja jestem z tych, którzy na początku myślą i mówią, że na pewno umrą ze zmęczenia i ogólnie w końcu pieprzną tą robotą, a jednocześnie ją uwielbiają. Tam było moje miejsce, w dołach, wśród kamieni i skorup. W przeszłości. A jednak z każdego miejsca trzeba było kiedyś wrócić. Rozliczyć projekt, wypełnić papiery, prowadzić wykłady na uczelni. To moje życie toczyło się zawsze gdzieś między wykopaliskami, było chwilowe, trochę jak fastryga pomiędzy poszczególnymi elementami życia prawdziwego. Musiałam zrobić swoje tu, na miejscu, by móc znowu wyjechać.

To dlatego ja i Daniel nie przetrwaliśmy. A teraz on się żenił, ja zaś jechałam na jego ślub. Z Jackiem, kolegą z uczelni i wykopalisk, który okazjonalnie bywał także moim kochankiem, bo człowiek musi sobie jakoś radzić. Nie mogłam odmówić, kiedy dostałam zaproszenie. Daniel wiedział, że co najmniej do września nie mam żadnego zajęcia i nijak się nie wykręczę. Poza tym odmowa wyglądałaby bardzo źle. Zaraz by się zaczęło gadanie. Wyszłabym na tę, która znowu ma jakiś problem. Nigdy nie pasowałam do miasteczka, w którym się urodziłam i w którym on nadal mieszkał. Owszem, tak – zawsze miałam jakiś problem, z ludźmi, z tamtym miejscem. Chciałam stamtąd uciec i uciekłam, ale jakieś pozory należało zachować. Żyłam na własnych zasadach, nie mogłam więc pozwolić, by mnie uznano za nieudacznika, który płacze

w poduszkę z powodu chłopaka. Nie płakałam przecież. Tylko czułam się dziwnie.

Jacek zgodził się wystąpić w roli mojego „plus jeden”, kiedy upił się w tawernie w Tevfikiye po tym, gdy myślał, że dokonał na wykopkach ważnego odkrycia, a okazało się, że jednak nie. Nie pamiętam już, o co dokładnie chodziło, wydaje mi się, że o jakieś agrafki. „Jakieś agrafki” być może nie brzmią dobrze w ustach archeologa, jeśli sprawa dotyczy akurat rzeczy znalezionych na terenie wykopalisk w Troi, ale po latach w zawodzie mogłabym już spokojnie konkurować z najbardziej wyluzowanym stoikiem wszech czasów i nauczyłam się nie podniecać każdą wygrzebaną z ziemi skorupką. Jacek niestety nie posiadał tej przydatnej umiejętności. Do tego on był od kultury materialnej, a ja od duchowej, więc nasze zainteresowania nie zawsze spotykały się w jednym punkcie. Choć sam Jacek oczywiście chętnie w tamtym momencie podjąłby temat filozoficznych rozważań na temat „przenikania się ducha i materii, jak również duchowych potrzeb człowieka, które uzewnętrzniają się w przedmiotach”. Czy coś w tym stylu. Doprawdy, teraz już nie ma sensu wnikać, bo temat i tak zjawiał mu się przed oczyma w pijanym widzie.

Ważne jest to, że wtedy Jacek się wstawił, a ja wypaliłam z zaproszeniem na wesele. Patrzył na mnie przez chwilę nieprzytomnie, mrugał, przekrzywił głowę, aż wreszcie

zaczął się śmiać. Chyba na chwilę zapomniał o starożytnych agrafkach.

– To ten ładny się ślubi? Ten Daniel? Co tu kiedyś był, jak...

– Za pierwszym razem, kiedy pracowaliśmy w Troi. Tak. Ale to było dawno temu i...

– Ale później wy jeszcze przecież ciągle. W... w? Na pewno na Thirze i...?

Westchnęłam ciężko. Jacek był dobry w krótkich i treściwych podsumowaniach. „Później wy jeszcze przecież ciągle” też mu się udało. Owszem, historia moja i Daniela była jedną z tych, które można by na Facebooku skategoryzować jako „to skomplikowane”. Zaczęło się w szkole podstawowej, właśnie tam, w tej naszej miejscowości, w której on został, a z której ja od zawsze planowałam wyjechać. Mieszkaliśmy po sąsiedzku, znały się nasze matki, on pomagał mi z matmy, ja jemu z historii, pewnego dnia o zachodzie słońca nad jeziorem on mnie pocałował i zapytał, czy chciałabym z nim chodzić. Powiedziałam, że jak najbardziej i czy w ramach tego chodzenia pójdziemy też razem na bal ósmoklasisty – bo my z tych sprzed ery gimnazjów. Potwierdził, zostałam jego dziewczyną, a on moim chłopakiem, nasze nauczycielki rozplęwały się w zachwytach („jaka piękna para”), sąsiadki wzdychały („ech, też się było kiedyś młodym”), kumple Daniela wchodzący w okres dojrzewania („idziesz dzisiaj na ławkę?”) postawili na nim krzyżyk, a moje koleżanki – „nie mówiłaś, że on ci się podoba, i przez cały ten czas patrzyłaś, jak ja...” – mnie znieawidziły. Wtedy przynajmniej

tłumaczyłam sobie, że nam zazdrozczono, ale teraz wiem, że równie dobrze mogło być inaczej. To ja mogłam być nie-miła i mieć muchy w nosie. On mógł być we mnie wpatrzony i odcinać się od innych. Oboje mogliśmy być mało sympatyczni. Wydaje mi się, że w pewnym momencie nikogo innego nie potrzebowaliśmy do szczęścia poza sobą. I przez to też czuliśmy się jacyś lepsi, bo przeżywaliśmy coś fantastycznego i wyjątkowego. Problemy innych przy naszych głębokich i wzniosłych przeżyciach wydawały nam się płytkie i nieważne. Daniel jednak umiał się później wśród ludzi odnaleźć, a ja nie bardzo.

Daniel był z tych przystojnych i rozsądnych. Zawsze schludnie ubrany, pomagał przynieść zakupy, alkoholu na imprezach używał tylko w ściśle kontrolowanej ilości. To ja byłam tą, która ma zawsze problem. W liceum żadna z dziewczyn nie pojmowała, co on we mnie widzi. A każda miała już jakiś sposób na późniejsze życie. Jedna planowała prowadzić z rodzicami hotel i restaurację nad jeziorem (najlepsza partia w miasteczku), druga zamierzała otworzyć salon kosmetyczno-fryzjerski (partia dobrze rokująca), trzecia chciała zostać nauczycielką w klasach jeden-trzy (ceniona za rozsądek, dobre stopnie i skłonność do poświęceń), czwarta już w szkole średniej dorabiała sobie w lecie jako ratowniczką. Były jeszcze jakieś piąte i szóste, ale kto by to spamiętał. Mimo to Daniel trzymał się uparcie mnie. Chociaż przyszedł przecież moment, w którym zaczęłam mu tłumaczyć, że tu nie zostanę. Nie traktował tego jak przeszkodę, bo on też chciał studiować – architekturę krajobrazu.

Zapewniał, że dostaniemy się na studia w tym samym mieście i „wszystko się uda”. Mówił to wtedy, gdy nie miałam już pewności, czy chcę, by wszystko się udawało. Czułam się przytłoczona i zmęczona. Chciałam przeżyć coś nowego, innego. Chciałam uciec. Kiedy więc Daniel ze smutkiem poinformował mnie o tym, że na studia w Warszawie się nie dostał i musi wybrać Wrocław, poczułam ulgę. Ja zostałam przyjęta, jechałam do stolicy. Nic nie mogło mnie przed tym powstrzymać. Nawet miłość. Zresztą wydawało mi się wtedy, że go już wcale nie kocham.

Powiedziałam, że będzie prościej, jeśli się rozstaniemy. W tak młodym wieku nie powinno się jeszcze wiązać na poważnie, lecz używać życia i zdobywać nowe doświadczenia. Nie rozumiał. Wyglądał tak, jak gdybym dała mu w twarz. Tłumaczył, że przecież będziemy się spotykać w weekendy, i chyba naiwnie wierzył, że możemy ciągnąć związek na odległość przez całe studia. A potem co? Nie umiał odpowiedzieć. To dlatego, że on także nie potrafił wyobrazić sobie wtedy naszej wspólnej przyszłości, choć oczywiście tak o tym nie mówił, zaprzeczał, kiedy pytałam. Nie potrafił, bo żadnej przyszłości nie było. On zamierzał projektować ogrody. Zajęcie dobre, intratne, pociągające za sobą konieczność częstych wyjazdów, ale niewykluczające posiadania własnego domu i własnego ogrodu – wręcz przeciwnie. Daniel już się cieszył na myśl, że będzie ten własny ogród miał. Zaprojektuje go oczywiście sam. Będzie pięknie. Kibicowałam mu w tym. Miał za sobą trudne doświadczenia, dużo przeszedł. Zasłużył na to, by spełniły się jego marzenia.

A ja? Ja nie chciałam domu i ogrodu. Miałam cel. Wykopaliska, doktorat, zajęcia ze studentami, wielkie odkrycia, publikacje, kariera. Wiedziałam, że w tej branży kariera nie zawsze oznacza także sukces finansowy, ale byłam idealistką i miałam pasję. I jeszcze jedno wiedziałam – że nie można jeździć po wykopaliskach i jednocześnie mieszkać w domu z pięknym ogrodem, dbać o ten dom, o rodzinę. To znaczy może komuś się takie rzeczy udawały, lecz jakoś nie umiałam sobie wyobrazić, że udadzą się mnie. Tak mu tłumaczyłam. Bładł. Garbił się. Kręcił głową. Powtarzał, że mnie kocha, że taka miłość nie przytrafia się przecież każdemu. Od podstawówki, od tego zachodu słońca i balu ósmoklasisty. Przez te trudne, okropne doświadczenia. Co mu miałam odpowiedzieć? Miał przecież rację, ja też tak do niedawna myślałam. Po prostu się przestraszyłam, ale gdybym to mu akurat powiedziała, czułby się winny. Mówiłby, że to przez niego, przez to, co przeszedł. Że mój strach stąd się bierze. Że się boję powtórki. Patrzyłby na mnie jeszcze smutniej i nie miałby już żadnych argumentów, a ja zaczęłabym zaprzeczać, nie umiałabym przyznać, że owszem, ma trochę racji. Czułabym się fatalnie, jak skończona egoistka. A przecież w tamtej sytuacji właśnie odrobina egoizmu była mi potrzebna. Wiedziałam, że to pora, by zacząć myśleć o sobie. Nie miałam tylko pojęcia, jak się do tego zabrać i przy okazji nikogo nie skrzywdzić.

Nie odpowiedziałam zatem wtedy nic. Zaczęłam go całować, rozebraliśmy się, kochaliśmy na moim wąskim tapczanie bardzo namiętnie, z absolutnym oddaniem, a później

on wyszedł przekonany, że już wszystko jest dobrze. A ja... Ja wyjechałam nazajutrz wcześniejszym pociągiem. Pakowałam się w pośpiechu, niczego nie wytłumaczyłam matce, z nikim się nie pożegnałam. Wysłałam mu tylko wiadomość, że to koniec i tak będzie lepiej. Wcisnęłam później do kieszeni swojego alcatela – prezent od matki – i nie sprawdziłam, czy odpisał. Zrobiłam to dopiero w akademiku. Nie odpisał.

Myślałam się jednak i nie był to jeszcze koniec naszej historii. Przyjechał pewnego dnia do Warszawy. Była sobota, koniec października. Pamiętam, że ścięłam włosy i kupiłam sobie nowy płaszcz, chciałam zaznaczyć, że jestem teraz trochę inna, a to, co było, już nie wróci. Porzuciłam to przekonanie, kiedy wysiadł z pociągu. Czekałam na niego na Centralnym, ręce trzymałam w kieszeniach, starałam się przyjąć nonszalancką pozę i udawać, że serce wcale nie tłucze mi się wściekle w piersi. Kiedy go zobaczyłam, przystanął na moment na peronie, zarzucił na ramiona plecak i zaczął biec w moim kierunku. Biec. Gardło ścisnęło mi się ze wzruszenia. Zrozumiałam, jak bardzo za nim tęskniłam, jak bardzo go wciąż kocham i jak bardzo nie wiem, co mam teraz zrobić. Padliśmy sobie w objęcia i zaczęliśmy się szaleńczo całować. Ktoś nas potrącił, ktoś powiedział „znajdźcie sobie jakiś pokój”. Całowaliśmy się dalej. Wreszcie oderwaliśmy się od siebie, a wtedy on wydyszał:

– Miałem zamiar udawać, że się na ciebie gniewam.

Roześmiałam się. Oboje chcieliśmy coś udawać i żadnemu z nas nic z tego nie wyszło.

Wśród moich znajomych ze studiów wszyscy nazywali później Daniela moim chłopakiem, bo odwiedzał mnie czasem w Warszawie i wtedy – owszem – spaliśmy w jednym łóżku. Jakoś nie umieliśmy całkiem ze sobą zerwać, ale wrócić do siebie na jasnych zasadach także nie byliśmy w stanie. A raczej ja tego nie umiałam. Kiedy go jednak widziałam, nie potrafiłam trzymać rąk przy sobie. A może to on zaczynał? Nie pamiętam. Z początku próbował rozmawiać ze mną jeszcze o przyszłości, o „byciu razem”, lecz wkrótce i on przestał. Pewnie i jemu było tak wygodnie. Nie pytałam, czy we Wrocławiu kogoś ma, choć wątpiałam w to, że żyje w celibacie. Ja także nie żyłam. Mieliśmy o tym jedną rozmowę i dotyczyła właśnie Jacka.

Z Jackiem bowiem „coś” zaczęło się już na studiach. Nigdy nie umiałam wyjaśnić i dokładnie nazwać naszej relacji. Moje życie uczuciowe w ogóle od zawsze było dziwne, mimo to mogę chyba powiedzieć, że miałam trochę szczęścia. Spotkałam dwóch wyjątkowych mężczyzn, którzy uznali za wyjątkową – z jakiegoś bliżej mi nieznanego powodu – także mnie. Nie wiedziałam więc, co to brak wzajemności, nawet jeśli w dorosłym życiu nie zaznałam również stabilizacji. Wiedziałam, co to oddanie, choć od dawna nikt mi nie składał żadnych deklaracji. Nie byłam z nikim związana żadną przysięgą, ale też nie żyłam samotnie. Koleżanka z uczelni powiedziała mi kiedyś:

– Ty to masz fart, wszyscy faceci za tobą latają, każdy się w tobie kocha, o nic nie musisz się starać.

Uśmiełam się z tego dość konkretnie. Koleżanka dokonała gigantycznego uproszczenia. Dobiegałam czterdziestki, a w całym swoim życiu byłam związana tylko z dwoma facetami. Z Jackiem i Danielem, i z nikim więcej. Jak na ten wiek to dość żałosny wynik. Nie przypominam też sobie sytuacji, w której ktoś by za mną latał. Poza nimi nikt nigdy nie zaprosił mnie na randkę, nikt mnie nie prosił nawet o numer telefonu. Podejrzewam, że zawsze stwarzałam dystans i było w moim zachowaniu raczej coś odpychającego, a Jacek i Daniel mieli po prostu fatalny gust. Daniel wreszcie się z tego otrząsnął i poszedł po rozum do głowy, ale Jacek?

Z Jackiem zaczęło się niewinnie i niezobowiązująco. Byliśmy na piątym roku, wyjeżdżaliśmy razem na praktyki wykopaliskowe, a tam działy się różne rzeczy, z których o większości wolałabym zapomnieć. Wypracowaliśmy sobie jednak całkiem niezłe funkcjonujący układ. Dziś określiłabym go jako *friends with benefits*. Takie rzeczy, jak wszyscy wiemy z komedii romantycznych, funkcjonują dobrze jedynie na początku, a później zawsze jest tak, że jedna ze stron chce czegoś więcej. No cóż, u nas tak było tylko przez chwilę. Przełom nastąpił w romantycznych okolicznościach na pewnej dalekiej wyspie, po czym sprawa ostatecznie rozeszła się po kościach. Wróciliśmy do dawnych ról. I tak się uchowaliśmy przez kilkanaście lat z tym naszym układem *friends with benefits*. Nadal się jakoś trzymamy.

Daniel poznał Jacka dawno temu na pewnej domówce, na którą wzięłam go ze sobą, bo akurat przyjechał. Zerkał to na mnie, to na niego, aż wreszcie wyduśił: „Wy ze sobą

sypiacie?”. To było konkretne pytanie, więc nie mogłam zaprzeczyć, bo nie lubię kłamać. Daniel się obraził, choć tłumaczyłam, że przecież niczego mu nie obiecywałam i nic mnie nie obchodzą jego intymne i randkowe przygody we Wrocławiu, może także je sobie mieć, jeśli chce. Najpierw się obraził, potem nadąsał, aż wreszcie zagał cicho: „Ty tak na poważnie z tym, że my nie będziemy już...?”. Nie dopytałam, o co mu dokładnie chodziło, ale pewnie o to, że nie będziemy już nigdy parą. Potwierdziłam więc. Sama nie wiem, czy wtedy tego chciałam, czy nie. Prawda jest taka, że myślałam raczej o wykopaliskach. O studiach, doktoracie, pasji. Koleżanka z uczelni, ta od rozmowy o latających za mną facetach, po przyjęciu odpowiedniej ilości napojów wysokokowych poinformowała mnie, że jestem „trochę poryta”. Trudno się było nie zgodzić. Z człowieka po alkoholu zawsze wychodzi prawda.

Nie widziałam się z Danielem później przez rok i naprawdę myślałam, że mnie sobie odpuścił. Pojechałam na pierwsze wykopaliska jako doktorantka, a nie jako studentka wyrobniczka, on robił uprawnienia architekta krajobrazu. Każde z nas rzuciło się w wir nowych obowiązków, lecz w tym też czasie dzięki dobrodziejstwom internetu i rozwijających się mediów społecznościowych wiedzieliśmy, co się mniej więcej u kogo dzieje. Wszyscy mieliśmy najpierw Naszą Klasę, a później Facebooka, więc czasem lajkowaliśmy sobie jakies fotki. I tyle. A jednak wcale nie. Było jeszcze coś.

Daniel odwiedził mnie w pracy, kiedy po raz pierwszy pojechałam do Troi. Wylądowaliśmy oczywiście w moim

pokoju i wiadomo. Na wykopaliskach był wtedy również Jacek, sprawa wyglądała zatem dość ciekawie i bałam się ze strony Daniela kolejnej sceny, ale nic takiego się nie stało. Przez kilka następnych lat spotykaliśmy się znowu raz na jakiś czas i nie umieliśmy trzymać rąk przy sobie. Przyzwyczaiłam się do tego. Do Daniela w moim życiu na właśnie takich zasadach. W myślach nazywałam go zawsze moim chłopakiem, choć przecież wcale nie chciałam, by nim był naprawdę. I wreszcie on zadzwonił, pięć lat temu, aby coś mi powiedzieć. Ma kogoś, na poważnie. Nie będzie się już ze mną widywał. I nie widywał się. To nie znaczy, że się ze mną nie kontaktował.

Jacek wiedział o Danielu, ale nigdy nie interesowały go detale. Taki już był. Wycofywał się w odpowiednich momentach i nie miał o nic pretensji. Na wieść o ślubie śmiał się jednak szczerze i długo. A może to przez alkohol, nie mam pojęcia.

– A ja na serio myślałam, że on cię bierze na przeczekanie – powiedział, kiedy wyprowadzałam go z tawerny. Jak na ilość spożytego alkoholu i nieutulony wciąż żal po agrafkach mówił całkiem składnie.

– Przeczekanie? – zapytałam, usiłując nie wyłożyć się z nim w poprzek chodnika.

– No tak, w sensie, że on czeka. Aż się zestarzejesz. O, nie, sorry, aż będziesz miała dość takiego życia w rozjazdach i wtedy ci się przypomni, że tam gdzieś daleko jest taki koles od ogrodów i możesz jeszcze ciągle mieć z nim ten ogród, i nie jest za późno, więc weźmiesz telefon, wybierzesz numer, powiesz mu do słuchawki, że ty w sumie zawsze, on ci powie, że też, a potem...

- To nie jest historia o mnie.
- No teraz już właśnie pojmuję, że nie.
- Czyli pójdziesz ze mną na...
- O, spójrz – rozmarzył się nagle i przystanął, zataczając się niebezpiecznie do przodu.

Na co? – Skupiłam się na tym, by złapał pion i nie wyrzucił zębami o glebę, bo porcelanowe koronki są dość drogie i nie do końca wiedziałam, na jakich zasadach wstawia się je człowiekowi do gęby w Turcji.

- O, tam.
- Co tam?
- Wschód słońca. Rozumiesz. Oni też taki widzieli. Tysiące lat, a tymczasem przyroda...

Jęknęłam w duchu i zmusiłam go do podjęcia przerwane spaceru.

Nie chciało mi się dłużej z nim gadać, bo się bałam, że zamiast o weselu będzie o wschodzie słońca i ludziach z epoki brązu, więc zaprowadziłam go do łóżka i poszłam do swojego pokoju, zanim zaczął się znowu rozgadywać na temat upływu czasu i sił natury. Rano poinformowałam Jacka dogorywającego nad kawą z cytryną, że zgodził się pojechać ze mną na ślub. W odpowiedzi smętnie kiwnął głową i nadal wpatrywał się w coś na dalekim horyzoncie.

- A z kim się żeni ten twój chłopak? – zapytał tylko bez większego zainteresowania.

Przypomniałam sobie tę dziewczynę. Trzecią. Tę, która chciała zostać nauczycielką w klasach jeden-trzy. Aniela. Nawet imię do niej pasowało. Oczywiście mogła się zmienić, nie

widziałam jej od wielu lat, bo jeśli mam być szczerą, rzadko odwiedzałam rodzinne strony, a jeśli już, to ograniczałam się do bycia nakarmioną przez matkę i oglądania z nią seriali. Ale podejrzałam to i owo na Facebooku. Aniela nadal wydawała się anielska. W zasadzie cieszyłam się, że Daniel trafił wreszcie na porządną, dobrą kobietę. Albo i nie. Właściwie nie wiem.

Z Anielą pamiętałam kilka wydarzeń szkolnych. Było ich bardzo niewiele, lecz jedno szczególnie utkwiło mi w pamięci. Czwarta klasa, pierwsze tygodnie po tym, jak Daniel po długiej nieobecności wrócił do szkoły i musiał się bardzo starać, by się na nowo we wszystkim odnaleźć. Aniela przyniosła mu owsiane ciasteczka z czekoladą. Powiedziała, że się cieszy na jego widok, że wszyscy trzymali kciuki i za nim tęsknili. Siedziałam kilka metrów dalej na parapecie i wszystko widziałam. Podziękował, ona go objęła, on ją dość sztywno poklepał po plecach. Później w każdy piątek przynosiła mu te ciasteczka, aż do pewnego marcowego dnia, w którym zobaczyła, że Daniel oddaje je pani woźnej. Szturchnęłam go łokciem, on się odwrócił, zobaczył Anielę, a ona wybiegła ze szkoły z płaczem. Nigdy nie miał odwagi jej powiedzieć, że nie cierpi owsianych ciasteczek. Do tej pory nie wiem dlaczego.

Nie mam też pojęcia, dlaczego ona to robiła. Można uznać, że ze zwyczajnej dobroci serca, oczywiście, ale to było przecież liceum, a nie dział kadr w ZUS-ie. W liceum nikt ot tak nie przynosił komuś ciasteczek, każdy taki gest był zawsze odpowiednio interpretowany. Jeśli dziewczyna dawała

chłopakowi własnoręcznie upieczone ciasteczka – w każdy piątek! – to znaczyło tyle, że na niego leci. A ona to robiła często przy mnie. Wiedziała, że jesteśmy parą. Każdy to przecież wiedział. I mimo wszystko... A Daniel nie umiał jej powiedzieć, by dała sobie spokój, zawsze tłumaczył, że ona jest przecież niegroźna i po co dziewczynie sprawiać przykrość. Przyznawałam mu rację. Byłam może zapatrzoną w siebie egoistką, ale nie byłam okrutna. I nie widziałam w Anieli żadnego zagrożenia.

Teraz też nim nie była. Mnie i Daniela nic już nie łączyło. Prawdopodobnie.